Kraków, 29-go czerwca 1913 r.

Rok 9. Nr. 13.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy“ nr. 26.

DOBRY SYN.

(Dokończenie.)

Tymczasem wojska królewskie już ustępowały przed nieprzyjacielem, król włosy sobie rwał z rozpaczy, mnóstwo żołnierzy leżało już bez życia, inni zabierali się do ucieczki.

Wtem zjawia się rycerz na dzielnym rumaku, cały okryty zbroją błyszczącą od złota i drogich kamieni. Rycerz ten zbiera żołnierzy wokoło siebie, zachęca do odwagi i sam pierwszy rzuca się na nieprzyjaciół, zwycięża i zmusza do ucieczki.

Nieprzyjaciele zostali zwyciężeni, ale dzielny rycerz raniony w rękę przywiedziony został do króla. Król wdzięczny za pomoc sam zajął się rycerzem i owinął mu rękę swoją chustką. Wreszcie zapytał:

— Czego żądasz, dzielny rycerzu, za ocalenie tego kraju; mów czego chcesz, czego pragniesz, a wszystko spełnię.

— Królu mój i panie! — rzekł rycerz przyklękając — nic nie pragnę i nie żądam, dość dla mnie szczęścia, żem ojczyznę od nieprzyjaciół uwolnił i ciebie, o królu, ocalił.

Mówiąc to, rycerz powstał, skoczył na konia i zniknął.

Wesoło i radośnie było na zamku królewskim, gdy powróciły zwycięskie wojska.

O niczem nie mówiono, tylko o dzielnym rycerzu i dziwiono się, gdzie tak nagle zniknął.

Jasiek ogrodniczek słuchał wszystkiego, uśmiechał się, ale nic nie mówił i o nic nie pytał.

Na drugi dzień rano, ogrodnik przyszedł budzić Jaśka i zobaczył, że ten ma rękę owiniętą chustką z wyszytą koroną królewską.

— Skąd to masz — krzyknął z gniewem — pewno ukradłeś!

— Nie gniewajcie się, panie, król sam mi ją podarował, tłomaczył się Jasiek.

— To być nie może, chodź do króla, tam się wytłómaczysz.

Przyprowadzono Janka przed króla, a ten obejrzawszy chustkę przyznał, że to ta sama, którą wczoraj owinął rękę nieznanemu rycerzowi. Pojąć tylko nie mógł, skąd ją dostał biedny ogrodniczek.

Janek poprosił króla o godzinę czasu, a wytłomaczy się ze wszystkiego. Król pozwolił, a Janek pobiegł do zielonego gaju, przybrał się w zbroję, dosiadł swego konia i popędził do zamku królewskiego.

Gdy stanął przed bramą, zatrąbił po trzykroć w złocistą trabkę, a straż zaraz dała znać królowi, że dzielny rycerz już się ukazał.

Król kazał bramę otworzyć i czekał na podwórzu z całym dworem.

Rycerz wjechał na podwórze i zatrzymał się przy królewskim tronie. Zeskoczył z siodła, przyklęknął przed królem, podniósł przyłbicę i odsłonił twarz swoją a wszyscy krzyknęli z podziwem:

— To Janek, ogrodniczek!

Król uradowany podniósł go z ziemi, uściskał i wprowadził do zamku. Przy uczcie na pierwszem miejscu posadził go koło siebie.

Niedługo też odbyło się wesele Jaśka z córką królewską, a zaraz potem Janko-królewicz, jak go odtąd nazywano, wyznał przed królewną i przed całym dworem, że jest synem chłopa, opowiedział im swoje przygody i prosił o pomoc w wyszukaniu ojca.

Wszyscy chętnie zgodzili się na to i ruszyli w drogę. Janek z królewną, swą żoną, jechał naprzód, a wciąż wołał:

— Prędzej, prędzej!

Jechali długo przez lasy i pola, mijali góry i rzeki, aż nareszcie wjechali do puszczy, gdzie stał dom zbójców i zobaczyli, że zostały z niego tylko zgliszcza.

Gdy zaś wyjechali na pole za lasem, zobaczyli starego chłopa, który szedł za pługiem i ziemię orał.

Królewicz poznał w nim swojego ojca. Serce mu zabiło z radości. Zeskoczył z konia, padł przed starcem na kolana i zawołał:

— Ojcze mój, ojcze drogi! czy nie poznajesz swego syna?

— Janek, mój syn kochany i opłakany, moje dziecko jedyne — krzyknął radośnie starzec, wyciągając spracowane ręce.

Wtedy zbliżyła się królewna. Biedny chłop nie wiedział jak powitać żonę swego syna, piękną jak kwiat, jak słonko jasną; ale ona sama przystąpiła i w rękę go pocałowała.

Syn zabawił u ojca parę dni, odwiedził grób matki i długo. serdecznie modlił się za jej duszę. Wyjeżdżając, chciał ojca zabrać ze sobą do zamku swego, ale staruszek pokręcił głową i rzekł:

— Nie dla mnie zamki i pałace królewskie; urodziłem się w tej chacie i w niej też umrę. Ty wracaj, mój synu, i panuj szczęśliwie — ja cię błogosławię. Jedźcie z Bogiem, a mnie zostawcie z tą pociechą, że ty żyjesz i jesteś szczęśliwy.

Syn odjechał, ale przedtem prosił starego ojca, żeby go choć odwiedził i starzec przyrzekł mu to.

Kiedy biedny chłopek zajechał do zamku wózkiem w jednego konia, cały dwór, król i królowa czekali na niego w podwórzu, wszyscy dworzanie kłaniali mu się z uszanowaniem. A starzec zdjął czapkę i poszedł naprzód do kaplicy, gdzie długo modlił się o szczęście dla swego syna.

Na drugi dzień, pomimo próśb syna i synowej, odjechał do swojej chaty.

W parę lat później umarł stary król a Janko po nim objął panowanie nad całym krajem. Kiedy objeżdżał swój kraj, zdarzyło się, że zbłądził nocą w jakiejś puszczy i dopiero nade dniem wydostał się na pole.

Właśnie było to pole jego ojca. Na zagonie stały dwa siwe woły przy pługu, ale oracza nie było.

Król zsiadł z konia i z radością dostrzegł ojca siedzącego pod drzewem, a przy nim stały dwojaki ze śniadaniem.

Prędko pobiegł król Janko w tę stronę, ale jakże się zmartwił, kiedy zobaczył, że ojciec jego siedzi nieruchomy i blady.

Rzucił się przed nim na kolana, pochwycił zimną rękę i mówił, okrywając ją pocałunkami:

— Ojcze kochany! obudź się, przyjdź do siebie! To ja, syn twój, twój Jasiek!

Ale starzec już się nie obudził więcej.

Król Janko zapłakał gorzko, na własnych rękach przeniósł zwłoki ojca na cmentarz wiejski i pochował go obok matki. Na grobie postawił piękny pomnik i często odwiedzał go i modlił się na nim.

Na miejscu zaś chaty wystawił piękny zamek i zamieszkał w nim.

Długo panował król Janko nad krajem swoim, kochany i szanowany przez swoich poddanych.

Żył długo i szczęśliwie, bo miał błogosławieństwo Boskie i ojcowskie.

Do kościoła!

Pracowałem tydzień cały
W pocie czoła,
A w niedzielę śpieszę rankiem
Do kościoła.

Śliczne wieże widać zdala,
Dzwon już woła,
Ludzie dążą, zewsząd śpieszą
Do kościoła.

Jak wesoło dziś, jak ładnie
Dookoła —
Ach, jak miło iść w niedzielę
Do kościoła!...

Sobotnie słonko.

Była to sobota.

Przez całą noc padał był deszcz ulewny, to też drogi pełne były kałuż, po rowach mętniała żółta od gliny woda, a trawy lśniły od srebrnych kropel.

Niebo tak się zawlokło chmurami, że słonka ani ujrzeć — szarość jeno a smętek padł na ziemię.

Czasami. z nad pól cichych porywał się znagła wicher, marszczył w drobniutkie fale brudne powierzchnie kałuż i targał czubami drzew, strącając z liści na ziemię obfite rosy.

Pod olszowym krzakiem siedzi Małgosia, siedzi Zośka Pakulanka i Jagusia komornicy.

Pilnują gęsi. Zimno im, to też garną się do siebie, jako te ptaszyny w gniazdku, a otulają zapaskami. Nawet śpiewać im się nie chce..

— Zośka, wyjrzyj-no na gęsi!

Ale i gęsiom dziś nie owies na myśli; stanęły na jednej nodze, pokuliły się, trawy nie skubią.

— Wyjrzy to dziś słonko? — pyta Jagusia i ku niebu spogląda, skąd znów zaczyna mżyć drobny, siekący deszcz.

— Hale! do cna je chmury zasnuły!

— Nie smućta się, wyjrzy ono wnetki — mówi Małgosia, — bo tak ma przykazane.

— A któż mu ta przykazował?

— Posłuchajta, jak to było.

Zamyśliła się Małgosia, przypomina sobie oną legendę dawno, bo przed rokiem słyszaną. Opowiadał ją dziaduś siwy, po prośbie chodzący.

„Onego czasu Najświętsza Panienka wyprała Jezusowe szmatki i powiesiła je na żerdkach koło chaty, aby wyschły.

A była to sobota.

Od świtu gęste chmury zawlekły niebo, aby rosy co nieco podeschły od zachodniego wiatru.

— Może ta coś nie coś przewiędną — myśli Swięta Panienka i precz one koszulki na żerdkach rozwiesza.

Aż tu jak nie zaciemni się, jak nie buchnie deszcz srogi; zmoczył giezłeczka tak, że się z nich srebrne strugi polały.

Zafrasowała się Święta Panienka okrutnie, pod strzechą stanęła, a żałośnie na swą pracę pogląda.

Wyszedł na tę porę Jezusek przed chatę. Miał ta na sobie aby owczy kożuszek, jako że wszystkie szmatki zdjął do prania.

— A czemu tak, Matuś, markotnie, poglądasz?

— Jakże mi się Synaczku, nie szczęści! wyprałam ci giezłeczka, na płocie rozwiesiłam, by wyschły, a tu deszcz je zmoczył, aż woda z nich strugami ciecze.

Podniósł Jezusek złotą główkę, a modremi oczyma w niebo się wpatrzył.

I w tejże chwili deszcz zaczął ucichać, zerwał się wicher srogi. Ciężkie chmury jęły się kłębić, po niebie przewalać, zbijać w tłumy i za las wędrować.

Wyjrzał błękit jasny, czysty, aż gdy ostatni obłoczek na stronę się usunął, buchnęło słońce złotem światłem.

Koszulki Jezusowe w mig wyschły.

Od tego czasu w każdą sobotę musi słonko choć na chwilę z za chmur wyjrzeć.

Ledwie skończyła Małgosia opowiadać, wyjrzą dziewczyny z za krzaku na świat boży onego słonka wyglądać i widzą — jako żywo deszcz ustał, pojaśniało dokoła, a dalekie wrzosowiska na piaszczanych górach stoją w świetle złotem. Wnet porwały się z ziemi, zapaski zrzuciły i jęły tańczyć po pastwisku, dudniąc po ziemi bosemi piętami, a piskliwie przyśpiewując:

Cztery białe serki,
Osełeczka masła,
Będę na pastwisku
Siwe gąski pasła.

Będę gąski pasła
Pod tą ranną zorzę.
Kruczek je naganiać
Od owsa pomoże.

Hu — ha!...

Płynie rzeczka płynie
Toczy srebrną wodę.
Usnął Kruczek w sianie,
Poszły gąski w szkodę.

Płynie rzeczka płynie,
Z ranka do wieczora,
Zajęli me gąski
Do białego dwora.

Hu — ha!...

ROMEK.

Siedział Romuś na tym płocie,
Co się wije wkoło domu,
Aż tu patrzy, że po błocie
Biegną kurki pokryjomu.
Idą latać na podwórze,
Już są przecie dosyć duże,
I stanęły zadziwione,
Każda patrzy w inną stronę.
Aż tu Romek, ten niecnota,
Krzycząc, skoczył z poza płota:
„Jak was złapię, to do rury
Dam usmażyć wszystkie kury".
Tyle robi wkoło krzyku,
Ze nasz kogut na kurniku
Woła z Romkiem kukuryku,
Aż i kura usłyszała.
Biegnie, gdzie gromadka mała,
I na Romka prosto leci:
„Nie bierz — woła — moich dzieci".
Romek w płacz, jak może zmyka.
Tak się rycerz przeląkł kury,
Skryłby się do mysiej dziury.
Tyle robią wkoło krzyku,
Ze aż kogut na kurniku
Woła z nimi kukuryku.

Złoty tron.

We francuskiem mieście Limoż pracował niegdyś w zakładzie złotniczym ubogi młodzieniec imieniem Eljasz. Pracował tak pilnie i okazał się tak zdolnym, że sława jego szeroko rozeszła się po kraju i doszła nawet do samej stolicy do Paryża.

Właśnie w tym czasie król francuski, Klotaryusz Drugi, zapragnął mieć tron nowy ze szczerego złota odrobiony. Skarbnik królewski, nie ufając paryskim złotnikom, spro-

wadził Eljasza do Paryża i przedstawił królowi, jako majstra któremu można powierzyć zrobienie tronu.

Król rozkazał swym nadwornym złotnikom, aby wyrachowali, ile potrzeba złota na odlanie tronu. Złotnicy, zazdroszcząc, że obcemu przybyszowi powierzono tak ważną robotę, umyślili zgubić Eljasza. W tym celu dali mu tak dużo złota, że można było z niego nie jeden, ale dwa zrobić trony. Niegodziwi ci ludzie wyobrażali sobie, że Eljasz pozostałą ilość złota przywłaszczy sobie.

Po ukończeniu pracy, Eljasz wystawił tron przed królem. Król był bardzo zadowolony i nie mógł się nadziwić piękności i doskonałemu wykończeniu tronu, a chcąc Eljasza godnie za tak piękne dzieło wynagrodzić, zwołał swych złotników, aby ocenili, ile należy zapłacić za robotę tronu.

Złotnicy pod niebiosa wynosili talent Eljasza, ale zarazem poszepnęli królowi, że musiał już on sobie za robotę sowicie wynagrodzić, gdyż tron o wiele mniej waży, niż dane mu złoto.

— Miłościwy królu — rzekli — rozkaż tylko zważyć tron, a prawda na wierzch wyjdzie.

Słowa te zmartwiły króla; kazał przywołać Eljasza i zapytał go, czy mu nie została choć odrobinka złota.

— Nie została mi odrobinka — odpowiedział, ani czwarta, ani nawet trzecia część złota, ale tyle, że wystarczyło mi na zrobienie drugiego takiego samego tronu.

To rzekłszy, kazał przynieść przed króla drugi tron, nie różniący się niczem od pierwszego.

Od tego czasu król obdarzył Eljasza szacunkiem i nieograniczonem zaufaniem. Syn zaś i następca jego, król Dagobert, mianował Eljasza swoim skarbnikiem i posłem.

Dożywszy sześćdziesięciu kilka lat, Eljasz rozdał ubogim cały swój majątek, a sam przywdział habit zakonny, w końcu zaś został biskupem; życie wiódł tak przykładne i bogobojne. że po śmierci policzony został w poczet świętych.